Eugeniusz Iwaniec
(Łódź)

Kosów Poleski i Mereczowszczyzna za władzy sowieckiej — jak je pamiętam (1939-1941)

Wybuch II wojny światowej w 1939 r. nie był zaskoczeniem dla mieszkańców Kosowa[1]. Nawet my, dzieci, wyczuwaliśmy, że dzieje się coś niezwykłego.

Na długo przed wybuchem wojny zaczęły pojawiać się buńczuczne plakaty mówiące, że jesteśmy „silni, zwarci i zbrojni", że nie oddamy nawet „guzika". Równocześnie w Kosowie zaczęły pojawiać się antyżydowskie ulotki. Jedną z nich dobrze pamiętam. Była na niej postać chudego chłopa, który dźwigał na swoich plecach grubego Żyda z workiem pełnym pieniędzy, oraz jakiś napis. Ponadto było wiele ulotek nawołujących, aby niczego nie kupować u Żydów. Szeroko była znana antyżydowska piosenka o dziwnej treści:

Hej, Żydki wraz
Przed wami Palestyna.
Arabski stoi nóż.
I przyjdzie Hitler,
Głowy wam pościna,
I skończy się wam
Żydowska Palestyna.

Ktoś to uporczywie propagował, gdyż wszyscy moi rówieśnicy ją znali i do dziś pamiętają. Uważam, że piosenka ta bierze swój rodowód nie od ludności miejscowej, lecz przyjezdnej. Wydaje się, że rozpowszechniali ją tzw. narodowcy lub szpiedzy niemieccy, jak się potem okazało, rezydujący na tym terenie.

Wszystkie organizacje młodzieżowe ogarnął patriotyczny zryw. Zaczęto uczyć posługiwania się maską przeciwgazową, nawoływano, aby każdy zaopatrzył się w takową. Niektórzy otrzymali maski w pracy. Ponadto uczono obsługi sanitarnej. Za cmentarzem prawosławnym i w innych częściach miasta kopano okopy. Zaczęły się też aresztowania niektórych mieszkańców miasta. Aresztowano znanego wtedy w Kosowie fotografa Józefa Szymańczyka

[1] Zob. F. S[obieszczański], *Kosów*, [w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 4, Warszawa 1883, s. 473; М. В. Банасевіч, В. Я. Мароз, У. В. Мароз, *Косава (Косаў)*, [у:] *Памяць. Івацэвіцкі раён*, Мінск 1997, с. 481-485; *Косава*, [у:] *Гарады і вёскі Беларусі. Энцыклапедыя*, т. 3, кн. 1, Мінск 2004, с. 484-487; E. Iwaniec, *Napad sowieckiej partyzantki na Kosów Poleski 3 sierpnia 1942 r.*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne", Białystok 2006, nr 25, s. 259-297.

(1909-2003)[2]. Jedni twierdzili, że aresztowano go za fotografowanie okopów, inni — że to konkurent go pomówił. On sam twierdził w rozmowie ze mną, że aresztowano go i osadzono w Berezie Kartuskiej[3] za fotografie obrazujące nędzę wsi poleskich. Sądzę, że do aresztowania J. Szymańczyka przyczyniła się również jego korespondencja z przyrodnim bratem Fiodorem Szurko (1900-1965) zamieszkałym na stałe w ZSRR oraz — jak niektórzy twierdzili — jego prosowieckie wtedy sympatie[4].

Od pierwszych dni września 1939 r. w Kosowie Poleskim z niepokojem słuchano informacji radiowych o posuwaniu się wojsk niemieckich na wschód. Jednakże oddziały niemieckie do Kosowa nie doszły. Nie przechodziły też przez Kosów liczniejsze oddziały polskie. Pamiętam tylko, jak mówiono, że w pobliskim Niechaczewie (stacja kolejowa Kosów Poleski) niemiecki samolot zrzucił trzy bomby. Nikogo nie zranił, tylko zabił jednego człowieka, uciekiniera z Gdyni. Komentowano to mówiąc, że człowiek nigdzie nie ucieknie od swego przeznaczenia.

Wyraźny niepokój można było zauważyć wśród urzędników administracji państwowej. Wielu z nich pochodziło z centralnej Polski i w Kosowie znalazło się tylko ze względu na oferowaną im tu pracę na korzystnych dla nich warunkach. W urzędach przeglądano dokumenty, niektóre niszczono, a część, widocznie z rozkazu władz zwierzchnich, przygotowano do wywiezienia do odległego od Kosowa o ponad sto kilometrów Pińska.

Na wieść o niespodziewanym przekroczeniu granicy państwowej przez wojska sowieckie 17 września 1939 r. administracja polska w Kosowie prak-

[2] J. Szymańczyk, *Byłem fotografem w Kosowie Poleskim* (opracowanie tekstu Anna Engelking), „Twórczość Ludowa", 1991, R. 6, nr 3-4, s. 44-45; tenże, *Jestem fotografem* (opracowanie Anna Engelking), „Kontrasty", 1992, R. 46, nr 3-4, s. 183-193; 1993, R. 47, nr 1, s. 58-57. Zob. także: Е. Селеня, *Фотографии расказывают*, „Маяк коммунизма", Берёза, 1.VIII.1989, с. 3; 26.VIII.1989, № 102; тот же, *Было ведь оно было...*, „Маяк коммунизма", 25.IX.1990, № 115, с. 2.

[3] *Берёза. Концентрационный лагерь*, [в:] *Память. Историко-документальная хроника Берёзовского района*, Минск 1987, с. 83-87; W. Śleszyński, *Aspekty prawne utworzenia obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej i reakcje środowisk politycznych*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne", Białystok 2003, nr 20, s. 262-276; A. Garlicki, *Bereza, polski obóz koncentracyjny*, „Gazeta Wyborcza", 19-20.IV.2008, s. 29-30; M. Pawłowski, *Bereza — polskie Dachau*, „Fakty i Mity", 2008, nr 50, s. 11.

[4] J. Bakijewicz, mieszkanka Kosowa (pasierbica Osipa Łukaszewicza — ojca chrzestnego Józefa Szymańczyka) w rozmowie z autorem 15.VIII.2006 r. O niej: Jelena Bakijewicz (ur. 3.VI.1918 r.), teraz najstarsza mieszkanka Kosowa, posiada fenomenalną pamięć. Jest chodzącą historią tego miasta. Nikt tak dokładnie jak ona nie pamięta historii poszczególnych rodzin, nazewnictwa związanego z miastem, różnych wydarzeń. Jest kobietą inteligentną, pogodną, gościnną i serdeczną. Szkoda tylko, że nikt tej wiedzy systematycznie nie utrwalał, pomimo moich usilnych zabiegów. Jelenę Bakijewicz można śmiało nazwać żywą, jedyną w swoim rodzaju, encyklopedią miasta Kosowa i Mereczowszczyzny.

tycznie przestała istnieć. W mieście zapanowało bezprawie, rozpoczęła się grabież opuszczonego mienia państwowego. Wtedy właśnie rozszabrowano też pałac Pusłowskich[5], siedzibę władz powiatowych i in. Uczynili to głównie mieszkańcy pobliskiej wsi Skuraty. Obok tzw. Riewkomu (Komitetu Rewolucyjnego) w mieście pojawiło się wiele samozwańczych grup rewolucyjnych, przeważnie rekrutujących się z pobliskich wsi. Grupy te, z czerwonymi opaskami na rękawach i niekiedy z pistoletami w rękach, zaczęły nękać Bogu ducha winnych obywateli. Jedna z takich grup na czele z panem Możejką ze wsi Skuraty późnym wieczorem złożyła nam nieproszoną wizytę. Możejko z towarzyszami domagał się od mojego ojca 10 kg cukru i Bóg wie co jeszcze. Wówczas moja matka Luba Iwaniec (1906-1995) zapytała Możejkę, czy on aby nie „zdureú" (tj. nie zwariował), skąd bowiem mój ojciec miał wziąć tyle cukru. Przed wojną rzadko kupowano cukier w ilości większej niż jeden kilogram. Następnie matka przypomniała Możejce, jak jadł on z moim ojcem kartofle z jednej miski, gdy na naszym placu budowano Powiatową Spółdzielnię Rolniczo-Handlową. Wtedy tenże Możejko pomagał murarzowi przy budowie, za co otrzymywał pieniądze i posiłki. Dobrze pamiętam, jak zdenerwowany ojciec wymachującemu pistoletem Możejce powiedział po białorusku: „Ty haraú i harać budziesz, a ja pisaú i pisać budu" (Orałeś i będziesz orał, a ja pisałem i będę pisał), co niebawem miało się sprawdzić.

Samozwańcze grupy nie poprzestawały na rabunku i grabieży. Rozpoczęły się represje i szykany przede wszystkim wobec wysokich urzędników państwowych i oficerów, osadników oraz tych „tutejszych", którzy rzekomo byli sługusami „polskich panów"[6]. Aresztowano wówczas m.in. wicestarostę Mariana Zabiełłę, sekretarza sejmiku Ludwika Banclebena, sędziego Nielubowicza, adwokata Majkowskiego i gajowych — Konstantego Łuszczyka i Nikołaja Kowalewicza oraz rolnika Kazimierza Borowskiego, Adama Ptasznika z synami i około dwudziestu osadników, którzy otrzymali pokaźne nadziały ziemi za udział w wojnie polsko-bolszewickiej, zamieszkując obok ludzi ledwie wegetujących, okropnie biednych. Ponadto aresztowano kilkudziesięciu uciekinierów z zachodniej i środkowej Polski, którzy szukali tu schronienia przed wkraczającymi na ich tereny Niemcami. Zatrzymanych umieszczano w budynku magistratu, gdyż w niewielkim areszcie, popularnie zwanym „kozą", nie można było ich wszystkich pomieścić.

[5] R. Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych Kresach Rzeczypospolitej*, t. 2, Warszawa 1992, s. [255]-257; П. Коняев, *Шляхетские роды и Коссовская земля*. Wydruk komputerowy opracowania, nadesłany do redakcji „Газеты для всех" w Iwacewiczach, s. 25-32, w posiadaniu autora; P. Piotrowski, *Przodkowie Dudkiewiczów z Kosowa*, Wieluń 2008, s. 10-12, wydruk komputerowy w posiadaniu autora.

[6] Por.: M. Wierzbicki, *Stosunki polsko-białoruskie pod okupacją sowiecką (1939-1941)*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne", Białystok 2003, nr 20, s. 179-182.

Zatrzymanych bito i torturowano fizycznie i moralnie. Według Władysława Sawickiego pana L. Banclebena zastrzelono, gdy stanął w obronie żony, nazywając bandytami znęcających się nad nią oprawców. Ciało zabitego wrzucono do zwykłej jamy i jak psa pochowano obok okopu przeciwlotniczego[7]. Podobne represje ze strony samozwańczych grup rewolucyjnych miały miejsce w różnych miejscowościach powiatu kosowskiego.

W mojej pamięci szczególnie mocno utkwiło zabójstwo Witolda Czekały z Grudziądza przybyłego do Kosowa do pracy w miejscowym Urzędzie Skarbowym. Przez pewien czas mieszkał on u nas, zaprzyjaźnił się z moimi rodzicami, przez których z czasem był traktowany niemal jak członek rodziny. Zwierzał się mojej mamie, że był synem ubogiej wdowy, która bardzo ciężko pracowała jako praczka, by jej syn mógł ukończyć gimnazjum. Mówił, że często po lekcjach, „gdy żryć się chciało", biegł na dworzec kolejowy, aby zarobić parę groszy, proponując podróżnym usługi bagażowego. Wyprowadził się on od nas po urodzeniu się mojego brata Walentego (1938-1981). Nie mógł ścierpieć nocnego płaczu dziecka i z bólem serca — jak mówił — musiał nas opuścić. Jednak często nas odwiedzał, mama nadal prała mu koszule i częstowała wyrobami mlecznymi. Ojciec proponował mu przeczekać okres zawieruchy wojennej w naszym domu, a potem obiecał pomóc mu przekroczyć Bug za pośrednictwem swojej rodziny, zamieszkałej w pobliżu tej rzeki. W. Czekała nie skorzystał z jego propozycji. Wyjechał razem z urzędnikami Urzędu Skarbowego. Prawdopodobnie, jako wzorowy urzędnik, wykonywał on polecenie wojewody poleskiego, dotyczące ewakuacji dokumentów i pieniędzy do Pińska. Według jednej wersji został on wspólnie z kolegami, po wykonaniu zadania, w drodze powrotnej zastrzelony w Iwacewiczach przez samozwańczą bojówkę rewolucyjną. Według innej wersji bojówkarze potopili ich w bagnach w pobliżu rzeki Hrywdy. W końcu 1945 r. mój ojciec Daniel Iwaniec (1897-1961) w zakładzie fotograficznym Józefa Okowitego (1907-1989) w Szczecinie spotkał przypadkowo brata Witolda Czekały i opowiedział mu o tragicznym losie tego wspaniałego młodego człowieka.

Wojska sowieckie wkroczyły do Kosowa 19 września 1939 r. Witane były przez Miejski Komitet Rewolucyjny. Na ulice wyległa przeważnie młodzież żydowska i białoruska oraz wielu gapiów różnych narodowości. Wśród młodych Białorusinek gruchnęła wieść, że „swoi idą". Pobiegły więc do

[7] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto rodzinne*, Nowy Targ 1991, s. 219-221. Praca nie jest opublikowana w formie książkowej, krąży jednak w maszynopisie w licznych egzemplarzach w Polsce i na Białorusi. Praca nosi znamiona monografii miasta Kosowa Poleskiego. Zawiera wiele wartościowego materiału do dziejów miasta, Mereczowszczyzny i osoby Tadeusza Kościuszki w oparciu niekiedy o zasoby archiwalne. Jednakże niektóre relacje zawierają też informacje nieprawdziwe lub przedstawione jednostronnie czy tendencyjnie.

o. Wasilija Siemaszki (1870-1940), duchownego prawosławnego[8], aby im sprzedał kilka wiązek kwiatów, których dużo rosło u niego w ogrodzie. Duchowny dał im kwiaty, choć bez entuzjazmu, nie wziął też od nich żadnych pieniędzy. Dziewczęta kwiaty rzucały przeważnie czołgistom, którzy jednak nie wywarli na nich spodziewanego wrażenia, ponieważ byli umorusani i brudni. A maszerujący żołnierze znacznie różnili się wyglądem od znanych dziewczętom żołnierzy Wojska Polskiego, niekiedy ich braci[9].

Na ulicy Tadeusza Kościuszki (wcześniej Słonimskiej, potem Sowieckiej, teraz 3-go Fiewrala) wzniesiono bramę powitalną w odległości jakichś stu metrów od zakrętu w ul. Niepodległości (dawniej Różańską, teraz T. Kościuszki). Wojsko witano chlebem i solą. Przynosiła chleb i sól Żydówka Biernacka (akuszerka), która potem po wkroczeniu Niemców błagała J. Szymańczyka, aby odnalazł film z tej uroczystości i zniszczył go. Ponoć bochen chleba z dużą kiełbasą wręczył rzeźnik Iwan Karnijewski, Białorusin. Według W. Sawickiego wśród członków komitetu powitalnego odnotowano Iosifa Turkiniewicza, Alinę Kalinowską, Adama Filipowicza (1898-1950), Antona Pliskiewicza (1898-1967), Nikołaja Trindę (1904-1944) i in.[10]

Wkraczającą Armię Czerwoną witała też zdekompletowana orkiestra miejskiej straży pożarnej pod kierownictwem młodej Żydówki. Polacy i częściowo Białorusini, członkowie orkiestry, zbojkotowali powitanie[11]. Pamiętam, że na czele każdego oddziału kroczył dumnie „komandir" (dowódca), a za nim podążał „politruk" (oficer wychowania politycznego). W ciągu paru dni przez Kosów przeszła duża ilość wojska. Niektóre jednostki biwakowały w pobliżu naszego domu. Przy ogniskach siedzieli „krasnoarmiejcy" (czerwonoarmiści). Próbowali oni zabawić gromadzących się wokół dzieciaków. Pokazywali nam sowieckie monety. Wielu z nich kupowało u nas scyzoryki z drewnianą rączką, które masowo były sprzedawane na bazarze. Pamiętam, że płacono nam za nie po 20 kopiejek. Żołnierze ci byli nie tylko inaczej umundurowani niż żołnierze Wojska Polskiego, ale też biednie wyglądali. Niektórzy nosili karabiny na sznurkach. Palili śmierdzącą machorę, skręcaną w gazetowy papier. A co najgorsze, dawali nam, dzieciom, palić te skręty. Wtedy to nam imponowało, choć mnie one nie smakowały i po paru próbach zrezygnowałem z tego dobrodziejstwa.

[8] O nim: Od 21.X.1900 r. był klucznikiem Soboru Katedralnego w Grodnie, od 25.III.1902 r. proboszczem soboru w Słonimiu, od 23.III.1924 r. częściowo zarządza parafią w Kosowie, od 12.IV.1926 r. był proboszczem parafii w Kosowie, od 9.VIII.1937 r. p.o. dziekana 1 okr. Kosów — o. Grzegorz Sosna, m. Antonina Troc-Sosna, *Katalog hierarchii i kleru parafialno-zakonnego Kościoła prawosławnego w granicach II i III Rzeczypospolitej Polskiej (1839-2010)*, Ryboły 2010 (w druku).

[9] J. Bakijewicz, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 20.VIII.2008 r.

[10] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 219.

[11] Por.: przypis 9.

W Mereczowszczyźnie[12] utworzono zamknięte miasteczko wojskowe. A to oznaczało koniec wspaniałego drzewostanu, ściąganego z całego świata. Drzewa i różnorodne rośliny wymagały stałej opieki, czego wojsko nie było w stanie zapewnić. Początkowo stała tam jednostka częściowo zmechanizowana. Część kadry oficerskiej szukała mieszkań w prywatnych budynkach. Po wyjeździe do centralnej Polski zamieszkałego u nas Bronisława Rutki (kierownika kancelarii Urzędu Skarbowego) z rodziną, mieszkanie stało wolne, toteż moi rodzice, podobnie jak inni mieszkańcy Kosowa, postanowili je wynająć jednemu z „komandirów". Był nim niejaki Kisielow; wydaje mi się, że na imię miał Nikołaj. Kisielow okazał się miłym i sympatycznym oficerem, z którym cała nasza rodzina szybko się zaprzyjaźniła.

Pewnego razu, w piękny jesienny dzień, Kisielow kupił i przyniósł do domu 5 kg kiełbasy, płacąc po 3 ruble za kilogram. Wywołało to zrozumiałe zdziwienie mojej mamy; u nas w domu nikt nie kupował takiej ilości kiełbasy. Często posyłała mnie do sklepu pana I. Karnijewskiego po ćwierć kilograma rozmaitości. Ale żeby kupować kiełbasę w takiej ilości i to po 3 ruble za kg, gdy nie kosztowała więcej jak 2 złote za kilogram! Wtedy nie było przecież lodówek czy zamrażarek, no i kogo było stać na taki wydatek. Kisielow zaczął uspokajać mamę. „Niczego, niczego choziajka, u nas dienieg mnogo" (Nic, nic gospodyni. Mamy dużo pieniędzy), a następnie zaczął wyjmować kiełbasę z pakunku i wszystkich obecnych obdarzać pokaźnymi kawałkami. A na koniec wyjął duży kawałek kiełbasy i dał stojącemu obok Bobikowi, memu ulubionemu psu, przy tym mówiąc: „Na, Bobik, spieszy żyt'!" (Weź, Bobik, śpiesz się żyć!). Słowa te nie wywarły na nas żadnego wrażenia i nikt wtedy nie zrozumiał ich sensu.

Jeszcze nie zdążyliśmy zjeść tej kiełbasy, jak Kisielow dokonał ponownego zakupu. Tym razem aż 10 kg, ale już po 5 rubli. I tym razem wprowadził w osłupienie moją mamę, uspokajając ją, aby się nie martwiła, ponieważ on ma dużo pieniędzy. Następnie rozpakował pakunek i każdemu z obecnych wręczył po kółku kiełbasy. Nie zapomniał też o Bobiku, kręcącym ogonem i wpatrującym się przymilnym wzrokiem w Kisielowa. A ten, podając psu duży kawałek kiełbasy, jeszcze mocniej niż poprzednio zaakcentował: „Na, Bobik, spieszy żyt'". Dziwić się należy, że i teraz nikt nie zrozumiał sensu tych słów. Dopiero po paru tygodniach okazało się, że już nie można kupić żadnej kiełbasy, nawet i po 25 rubli za kilogram. Rodzice zrozumieli co znaczył zwrot skierowany do Bobika.

[12] J. Krz., *Mereczowszczyzna*, [w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów*, t. 6, Warszawa 1885, s. 259; М. Банасевіч, В. І. Мароз, *Мерачоўшчына*, [у:] *Памяць. Івацэвіцкі раён*, с. 486. Uważa się, że to tutaj Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko 12.II.1746 r. został ochrzczony w obrządku rzymskokatolickim w miejscowej kaplicy, należącej do parafii w Kosowie, gdzie następnie został zarejestrowany w księdze metrykalnej.

Z biegiem czasu, gdy Kisielow nabrał do nas zaufania, zaczął opowiadać o swoich stronach rodzinnych, o rodzicach i kolektywizacji wsi białoruskiej. Mówił, że on osobiście „rozkułaczył" swego ojca, zostawiając mu tylko jedną krowę i tym samym uratował go przed zesłaniem na Sybir.

Kisielow był bardzo niezadowolony, gdy moja mama przyjęła na mieszkanie jeszcze jednego lokatora, komsomolca, chyba o imieniu Wasia. Kisielow przestrzegał przed takimi, którzy, jego zdaniem, przyjechali bałamucić młodzież. Wasia rzeczywiście czuł się w swoim żywiole, jeździł konno, organizował spotkania młodzieżowe, namawiał do Komsomołu i szydził z religii. Długo u nas nie pomieszkał, bo wkrótce się wyprowadził do lepszego mieszkania. Kisielow również nas opuścił, gdyż jego jednostkę przeniesiono do Berezy Kartuskiej, odległej od naszego miasta o jakieś 25-30 km, gdzie ich zakwaterowano w przedwojennym obozie koncentracyjnym. Bereza Kartuska była większym miastem niż Kosów i leżała bezpośrednio na szlaku szosowo-kolejowym Brześć — Baranowicze — Mińsk. Widocznie uznano, że tam jest właściwsze miejsce dla tej jednostki wojskowej. Kisielow jednak nie zapomniał o nas i, gdy tylko mógł, odwiedzał nas.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Tradycja nakazywała ubierać choinkę. Cukierki w papierkowym opakowaniu stanowiły niemal nierozłączną część wystroju choinki. A w sklepach były pustki; o cukierkach można było tylko pomarzyć. Pojawiały się niekiedy, ale trzeba było długo stać w kolejce, aby je zdobyć. Z pomocą przyszedł Kisielow. Obiecał przywieźć cukierki, kiedy będzie wracał od rodziny mieszkającej gdzieś pod Mińskiem. Podał nawet w przybliżeniu termin przyjazdu i to w towarzystwie innych oficerów. Niecierpliwie oczekiwałem na ich przyjazd i zastanawiałem się jak tych sowieckich komandirów powitać. A w gazecie akurat w tym dniu opublikowano portret Józefa Stalina (1879-1953). Postanowiłem na ich powitanie wyciąć z gazety podobiznę J. Stalina i powiesić na ścianie, zupełnie nie zdając sobie sprawy jakie to pociągnie konsekwencje. Mama niechętnie spoglądała na moje przygotowania.

I oto nareszcie pojawił się w naszym domu Kisielow z kilkoma oficerami i przywiózł upragnione cukierki. Całą walizkę! Przywiózł też kilka butelek wódki produkcji sowieckiej. Mama przygotowała kolację i rozpoczęło się powitanie gości. W czasie biesiady po paru kieliszkach Kisielow spojrzał na wiszący na ścianie wycięty z gazety portret J. Stalina i zawołał: „Czort pobieri, kuda nie prijediesz, wiezdie wisit eta sowietskaja ikona" (Niech to szlag trafi, gdzie nie przyjedziesz, wszędzie wisi ta sowiecka ikona). Zrobiło się krótkie zamieszanie, a siedzący obok Kisielowa politruk zwrócił się do niego z poleceniem: „Dawaj, wyjdiem" (Chodź, wyjdziemy). Początkowo Kisielow nie chciał, ale w końcu wyszedł z politrukiem. A ja za nimi. Obaj oficerowie odeszli parę metrów i zatrzymali się przy studni. Politruk wyjął z kabury pistolet i podając go Kisielowowi powiedział: „Na, zastrie-

liś! Ty znajesz, czto ty skazał?" (Weź, zastrzel się! Czy wiesz co powiedziałeś?). Kisielow odepchnął rękę z pistoletem politruka i powiedział mu kilka mocno niecenzuralnych słów. W tym momencie z domu wyszedł mój ojciec i jakoś załagodził sprawę. Oficerowie wrócili do domu i ponownie zasiedli za stołem. Teraz ojciec postawił swoją, jeszcze polską, wódkę i towarzystwo jakoś się uspokoiło. Kolacja trwała przez jakiś czas, a następnie Kisielow serdecznie się z nami pożegnał i wszyscy oficerowie wspólnie odjechali w kierunku Berezy Kartuskiej.

Po tym incydencie Kisielow więcej nas nie odwiedził, nie dawał też znaku życia. Bardzo martwiliśmy się, a ja przeżyłem to szczególnie. Ma się rozumieć, zerwałem ze ściany wizerunek J. Stalina i spaliłem go w piecu. Potem już nigdy więcej w życiu żadnych podobnych wizerunków na ścianach nie wieszałem i nie wieszam. Aż oto pewnego razu przyszedł długo oczekiwany list od Kisielowa w formie trójkącika charakterystycznego dla sowieckiej poczty polowej. Z listu wynikało, że walczy on z „biełofinami" na froncie sowiecko-fińskim. Chociaż zmartwieni, ale z pewną ulgą odetchnęliśmy. Jednak więcej żadnej wiadomości od Kisielowa nie było. Nie wiadomo czy poległ on w walce, czy dostał się do niewoli, czy potem, po wymianie jeńców, odsiedział dziesięcioletni wyrok w łagrach za poddanie się do niewoli, czy nie posłał ostatniej kuli w swoją głowę, czego wymagał od sowieckich żołnierzy ówczesny regulamin wojskowy. Jeszcze dziś, gdy usłyszę nazwisko Kisielow, wypytuję każdego, czy aby nie ma czegoś wspólnego ze znanym mi z dzieciństwa Kisielowem[13].

Do Kosowa przybyła też jednostka NKWD. Łatwo było enkawudzistów rozpoznać, gdyż nosili okrągłe czapki w rzucającym się w oczy niebieskim kolorze. Rozpoczęła się inwigilacja społeczeństwa kosowskiego. Pomiędzy Domem Ludowym a Magistratem rozpoczęto budować siedzibę NKWD z więzieniem, kuchnią i innymi budynkami. Większość terenu ogrodzono kilkukilometrowym płotem z desek. Latem 1940 r. kompleks ten był już gotowy. Enkawudzistów bano się jak ognia. Pewnego razu widziałem, jak pędzili grupę więźniów do miejskiej łaźni, przerobionej z żydowskiej mykwy. Widok był niesamowity. Enkawudziści po bokach, z przodu i z tylu konwojowali grupę z wyciągniętymi z kabur pistoletami w pozycji gotowej do strzału.

Nieco później widziałem przerażające wydarzenie. Jeden z osadzonych w więzieniu Polaków podjął brawurową ucieczkę z placu więziennego. Przeskoczył przez bardzo wysoki płot i zaczął uciekać w stronę cmentarza prawosławnego. Nie zdążył jednak dobiec do niego, gdyż trafiła go kula enkawu-

[13] Latem 2010 r. w archiwum Twierdzy Brzeskiej odnalezione zostały dane o stacjonującej w 1939 r. w Berezie Kartuskiej jednostce wojskowej, w której służyło aż dwóch oficerów o nazwisku Kisielow. Według tych danych jednostkę tę w 1940 r. w całości wysłano na front fiński. Jednym z oficerów na pewno był znany nam Kisielow, który jak widać, na szczęście, nie był wysłany karnie.

dzisty. Leżał w upalny dzień, jęczał i błagał o wodę. Nie udzielono mu żadnej pomocy, a wszystkim, którzy próbowali się do niego zbliżyć, grożono użyciem broni. Zabrano go dopiero po paru godzinach. Widziałem, że ktoś z rodziny więźnia chodził w pobliżu. W tamtych czasach byłem bardzo odważnym chłopcem. Był taki moment, że chciałem mu zanieść kubek wody, ale jak tylko się zbliżyłem, ukazywał się enkawudzista. Wieść o tym wydarzeniu błyskawicznie rozeszła się po całym mieście i wywarła na mieszkańcach ponure wrażenie. A ja to barbarzyństwo zapamiętałem na całe życie.

Po enkawudzistach do miasteczka zaczęli przybywać inni przedstawiciele aparatu ucisku, działacze partyjni i nasłani urzędnicy państwowi. A w ślad za nimi ich żony, dzieci i całe rodziny. Przybyłych z ZSRR mężczyzn nazywano Sowietami, a kobiety — Sowietkami lub „wostocznikami" (wschodniakami). To pojęcie przetrwało nawet do czasów obecnych. Byli oni bardzo skromnie ubrani i wyczuwało się, że życie w Kosowie wywierało na nich duże wrażenie. Szczególnie wyróżniały się Sowietki. Pamiętam, jak głośno było w miasteczku, gdy żony czy córki enkawudzistów i innych dygnitarzy zaczęły chodzić na zabawy i nawet po ulicy w nocnych koszulach z falbankami, ofiarowanymi im widocznie przez mężów z zarekwirowanego mienia „polskich panów". Nie zdając sobie sprawy, że są to nocne koszule, młode kobiety stały się pośmiewiskiem miejscowej ludności. Tylko moja mama nie śmiała się, gdyż — jak mówiła — żal jej było tych młodych kobiet, często panienek, ponieważ przyjechały one z rozkułaczonego kraju, niekiedy w jednej tylko sukience i nie wiedziały, że gdzieś tam na świecie można tak ubierać się do snu, a nie na zabawę.

Oprócz żon sowieckich dygnitarzy w miasteczku i w okolicznych wiejskich szkołach pojawiły się tzw. „pionieroważate" (instruktorki pionierów), których głównym zadaniem było utworzenie pionierskiej organizacji młodzieżowej. A ta poprzez atrakcyjne zajęcia pozaszkolne miała za zadanie odciągnąć od cerkwi czy kościoła jak najwięcej młodzieży. Temu celowi służył też początkowo pięciodniowy tydzień pracy.

Dzieci Sowietów były skromnie ubrane i oczywiście nie znały miejscowego języka. Szczególnie mocno w mojej pamięci utkwiło zachowanie dzieci sowieckich dygnitarzy pochodzenia żydowskiego. Nie chodziły one do czynnej wtedy siedmioklasowej szkoły żydowskiej, lecz do naszej. Wyraźnie negatywnie różniły się one od miejscowych dzieci żydowskich. Były (zwłaszcza chłopcy) zarozumiałe, hałaśliwe i aroganckie. Wszyscy byli pionierami, nosili na co dzień czerwone krawaty i każdy z nich wyśmiewał religię chrześcijańską. Rzucali stek obelżywych słów pod adresem chrześcijańskich duchownych, świątyń i przedmiotów kultu, co dla nas było upokarzające. Często nie pozostawaliśmy im dłużni, niekiedy dochodziło do awantury czy nawet draki. Przeważnie nosili imiona Wowa lub Dima. Mam o nich jak najgorsze wspomnienia. I może dlatego nie lubię, gdy święte dla prawosła-

wia imiona Włodzimierz czy Dymitr są przekształcane na różnego rodzaju Dimy czy Wowy.

Przybyli z ZSRR Żydzi stanowili w Kosowie tylko małą cząstkę tej społeczności, która w latach 1939-1941 była najliczniejszą grupą w mieście, a to za przyczyną pojawienia się w Kosowie dużej ilości uciekinierów z terenów Polski zajmowanych przez Niemców. Wielu z nich pochodziło z zamożnych, rodzin inteligenckich. Niekiedy byli to synowie fabrykantów, niektórzy po studiach lub szkołach fachowych. Wyróżniali się większą ogładą i kulturą osobistą. Rodzice wyposażali ich w podręczny ekwipunek, pieniądze, kosztowności, różne dokumenty i adresy do nawiązania kontaktów i odprawiali na Wschód. W ten sposób chcieli ich ocalić przed hitlerowską zagładą, której echa docierały do Polski. W Kosowie znajdowali oni oparcie w miejscowych Żydach, którzy jak mogli starali się pomagać swoim współbraciom. Dzięki tej pomocy niektórzy z uciekinierów żydowskich w 1940 r. zdołali przedostać się z Kosowa na Litwę, a stamtąd do Szwecji i dalej do Ameryki[14]. Solidarność Żydów już wtedy mnie zachwycała i wprawiała w zdumienie. Była godna naśladowania. Nic więc dziwnego, że przy takiej przewadze ludności żydowskiej większość eksponowanych stanowisk w mieście była obsadzona przez nich. Żydzi nie byli też poddawani represjom przez samozwańcze grupy rewolucyjne pomimo tego, że wielu z nich można było zaliczyć do wrogiej grupy kapitalistów. Poza konfiskatą tartaków czy drobnych przedsiębiorstw Żydzi w Kosowie nie ponieśli żadnych strat.

Władza sowiecka przyniosła też niespotykaną w języku polskim ani białoruskim rosyjską nazwę Żydów: „Jewriej". Część Żydów kosowskich podchwyciła tę nazwę, zwłaszcza młodzież znajdująca się pod wpływem Żydów sowieckich. Starzy do dziś trzymają się swojej dawnej nazwy.

Przybyli z Polski Żydzi przeważnie nie znali języka „tutejszego" czyli białoruskiego czy rosyjskiego. Wyróżniali się oni większą skromnością, robili wrażenie przygnębionych, zachowywali się ciszej i nie wyzywająco. Nie oponowali, gdy ich nazywano Żydami, a nie Jewriejami. To słowo było im przedtem mało znane. Natomiast część tutejszych Żydów, a szczególnie ci, którzy przybyli z wojskiem sowieckim, bardzo byli uczuleni na słowo „Żyd". Za posługiwanie się nim groziła kara do 2 lat pozbawienia wolności. Pamiętam, że taki wyrok (chyba w zawieszeniu) zapadł w kosowskim sądzie. Denerwowało to nie tylko miejscową ludność, ale również niektórych Sowietów. To od nich wyszło popularne powiedzenie: „Nie gowori Żyd — budiet dołgo żyt'. Gowori Jewriej — podochniet skorej" (Nie mów Żyd — będzie długo żyć, mów Jewriej — zdechnie szybciej).

[14] N. Bart (geb. Jurewitsch), *Erinnerungen an mein Leben in der ersten und zweiten Heimat*, Saulgau 1999, s. 9.

Popularność tego powiedzenia potęgowały jeszcze złośliwe wypowiedzi (i to dość częste) niektórych Żydów pod adresem Polaków czy nawet „tutejszych". Szczególnie często można było usłyszeć od nich: „Nu, skończyła się już wasza pańska Polsza".

Pomimo tych słownych utarczek poważniejszych spięć między Żydami, Białorusinami i Polakami trudno byłoby się dopatrzyć. Dopiero tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. często dochodziło do ostrych spięć słownych między młodymi Żydówkami a Białorusinkami i Polkami, których razem wożono do prac przymusowych. Do spięć dochodziło przeważnie podczas budowy zaplanowanego przez władze sowieckie lotniska w Baranach, tuż za Iwacewiczami w kierunku Niechaczewa. Młode dziewczyny żydowskie, nie przyzwyczajone do ciężkiej pracy fizycznej, więcej odpoczywały oparte o łopatę niż pracowały. Wówczas stawały się przedmiotem różnych szyderstw ze strony Białorusinek i Polek. Dochodziło do wzajemnych obelg i gróźb. Żydówki straszyły, że poskarżą się na swoje przeciwniczki do przewodniczącego Rady Narodowej Aleksandra Świrguna (1903-1971)[15], ożenionego z Żydówką z Różany[16]. Wówczas otrzymywały jeszcze większą porcję niewybrednych obelg, w rezultacie jednak bez jakichkolwiek następstw[17].

Miejscowa starszyzna żydowska, zżyta ze środowiskiem, w którym od dawna mieszkała, zachowywała się w stosunku do swoich współwyznawców ze Wschodu z pewnym wyczuwalnym dystansem. Chętnie nasłuchiwała, co oni im mówią, a zwłaszcza przypatrywała się co oni robią, nie zawsze aprobując ich zachowanie ani sposób bycia. Prawdopodobnie dzięki radom sowieckich Żydów bardzo szybko znikły niemal wszystkie towary ze sklepów żydowskich. Tylko niektóre z nich sprzedawano nieswoim, częściowo na kredyt.

W mieście władze sowieckie podjęły działania w celu zorganizowania nowej administracji. Miastu nadal pozostawiono charakter siedziby powiatu, od połowy stycznia 1940 r. zorganizowanego na wzór sowieckiego rejonu. Główne stanowiska objęli funkcjonariusze ze Wschodu i miejscowi Żydzi, którzy wykazywali się dużą lojalnością wobec nowej władzy. We władzach znaleźli się też byli więźniowie przedwojennej Polski, szczególnie ci, co byli więźniami obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej. Wprowadzono też sowieckie nazewnictwo instytucji państwowych i samorządowych. Główną jednak rolę w mieście odgrywał Rajkom Partii (Rejonowy Komitet Partii). Ponieważ pałac w Mereczowszczyźnie zajęty został przez jednostkę

[15] O nim: М. Банасевіч, [у:] *Памяць. Івацэвіцкі раён*, с. 117.

[16] W. Karpyza, *Różana*, [w:] *Ziemia Wołkowyska*, [Lębork — Słupsk ok. 2005], s. 111-122.

[17] J. Bakijewicz, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem 13.VII.2004 r.

wojskową, wszystkie urzędy znalazły się w obrębie miasta. Miasto stało się przeludnione.

Pod koniec 1939 r. dokonano bardzo niekorzystnej wymiany polskich pieniędzy na sowieckie pozbawiając wielu ludzi oszczędności, zwłaszcza srebrnych monet, które posiadały jakąś wartość. A w pierwszym kwartale 1940 r. rejonowe NKWD zaczęło „paszportyzację" ludności. Nowy dowód tożsamości zawierał dane o narodowości, pochodzeniu społecznym i stosunku do służby wojskowej. Adnotacje takie w dowodach osobistych niekiedy bardzo utrudniały życie ich właścicielom, albowiem z góry skazywały ich jako „niebłagonadiożnych" (niegodnych zaufania) na niepowodzenie lub wzbudzały podejrzliwość wobec nich.

W rozumieniu ustawodawstwa sowieckiego ludność zamieszkała na terenie Kosowa stała się obywatelami Republiki Białoruskiej. Ponieważ większość mieszkańców Kosowa nie posiadała dowodów osobistych, wszystkich urodzonych na tym terenie starano się zaliczyć do Białorusinów. Różnice wyznaniowe, nie tak jak przed wojną, nie miały żadnego znaczenia i nie były brane pod uwagę. Jedynie Żydów to nie dotyczyło, gdyż wszyscy oni podawali się za „Jewriejów" i władza tę oddzielną narodowość akceptowała.

Przedwojenne dowody zabrano, a nowe wydawano na podstawie metryki wystawianej przez Gorsowiet (Radę Narodową). Wiele przedwojennych dowodów wróciło do właścicieli po panicznej ucieczce NKWD w 1941 r., ponieważ zostały one w opuszczonych budynkach, które ja również z chłopakami plądrowałem.

Władze sowieckie zaczęły likwidować drobne prywatne zakłady pracy tworząc tzw. artiele (spółdzielnie pracy). Zlikwidowano również zakład fotograficzny J. Szymańczyka, który znajdował się w jego domu. Początkowo był on kierownikiem artieli, ale wkrótce przysłano z Brześcia Żyda Kaleckiego, „bardzo wyrobionego, inteligentnego człowieka, syna fotografa". Klientami przeważnie byli żołnierze sowieccy, którzy z Mereczowszczyzny oddziałami przychodzili w niedzielę „na przepustkę" fotografować się. Ponoć „dla nich fotografia była symbolem, że oni byli na wojnie"[18].

Ponadto nowe władze skonfiskowały w mieście wszystkie budynki handlowe, których powierzchnia przekraczała 110 m^2. Proces nacjonalizacji był ogromnym wstrząsem dla właścicieli i trudny do zaakceptowania przez znaczną część społeczeństwa Kosowa. Skonfiskowano i nasz budynek, w którym znajdowała się Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa. Stał on na naszym placu. Dokonano tego bezprawnie, ponieważ nie spełniał on wymaganych kryteriów konfiskaty, gdyż jego powierzchnia była znacznie mniejsza. Budynek przejęło wojsko. Początkowo składowano w nim owies dla koni wojskowych, a potem worki z mąką.

[18] J. Szymańczyk, *Jestem fotografem...*, s. 59-61.

Pewnego razu w czasie rozładunku owsa zebrało się sporo gapiów. Przyglądałem się temu i ja z ojcem. Obok nas stała kobieta ze wsi Bieławicze. Dobrze ją znaliśmy, ponieważ często, przechodząc obok naszego domu, korzystała z wody, którą udostępnialiśmy przechodniom przez wystawianie przy studni wiadra z kubkiem. W pewnym momencie kobieta podeszła do kierującego rozładunkiem oficera sowieckiego i ku zdumieniu ojca zaczęła mu perswadować, jak dobrze zrobiła władza sowiecka zabierając nam ten budynek, ponieważ mój ojciec to burżuj, który workami nosił pieniądze. Pamiętam jak oficer podszedł do ojca i zaczął go wypytywać ostrym tonem. Ojciec uśmiechnął się i wytłumaczył oficerowi, że pieniądze nie były jego własnością, tylko Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, działającej oficjalnie od 1 października 1938 r. Pieniądze rzeczywiście trzymał w woreczkach, gdyż w nich je otrzymywał z banku, ponieważ posługiwał się głównie srebrnymi 2- i 5-złotowymi monetami oraz mnóstwem drobniejszych monet. Oficer coś powiedział kobiecie, a ta zabrała się i chyba ze wstydem poszła. Więcej nie zachodziła do nas napić się wody.

Utworzenie magazynu ze zbożem czy mąką w budynku Spółdzielni Rolniczo-Handlowej stało się dla nas swego rodzaju gehenną, gdyż zaraz po załadowaniu go postawiono wartownika, a ten pod groźbą użycia broni zabraniał nam przechodzić obok. Mieliśmy go omijać przechodząc na drugą stronę niebrukowanej ulicy, często w błocie po kolana, aby dostać się do domu, który stał jakieś 40 m w linii prostej od budynku Spółdzielni. Szczególnie niebezpiecznie było późną jesienią wieczorem, zwłaszcza wtedy, gdy wartownikiem był żołnierz pochodzący z którejś republiki azjatyckiej. Ci żołnierze słabo znali język rosyjski i często umieli tylko ostrzegać: „Moja twoja nie ponimaja, moja twoja strielaja, stoj". Takich wartowników ludzie bali się jak ognia, zwłaszcza po incydencie, jaki zdarzył się w Mereczowszczyźnie, gdy taki wartownik zastrzelił swojego kolegę — Rosjanina, który poszedł po drzewo do pieca i ponoć nie potrafił podać hasła. Byłem na pogrzebie tego biedaka. Pochowano go na skraju cmentarza prawosławnego, tuż przy drodze do wsi Skuraty. Widziałem zapłakanych rodziców i dobrze zapamiętałem pierwszy raz w życiu słyszaną salwę żołnierską. Ponadto był to pierwszy pogrzeb, jaki widziałem bez udziału duchownych. Wydało mi się to bardzo dziwne. Rodzice wyjaśnili mi, że udział jakiegokolwiek duchownego był wtedy nie do pomyślenia, gdyż religię Sowieci uważali za „opium dla narodu", a ludzi wierzących — za ciemnych, których traktowano jak jakichś przestępców. Jako przykład niech posłuży następujące wydarzenie. Pewnego razu w niedzielę do kosowskiej cerkwi przyszło trzech żołnierzy — czerwonoarmistów. Ponoć robili wrażenie, jakby pierwszy raz w życiu byli w świątyni i bardzo uważnie, z zaciekawieniem słuchali przebiegu liturgii cerkiewnej. Długo jednak nie postali, gdyż wkrótce, w czasie nabożeństwa, do cerkwi z hałasem wszedł oficer sowiecki z dwoma żołnierzami.

Nie zdejmując nakrycia głowy dość, brutalnie wyprowadził tych biednych żołnierzy. Sądzę, że drogo musieli zapłacić za pójście do cerkwi.

O. Wasilij Siemaszko w otoczeniu członków chóru cerkiewnego z Kosowa. Obok siedzi psalmista Wasilij Antonik. Fot. Józef Szymańczyk

Nie mieli łatwego życia ani proboszcz cerkwi prawosławnej o. Wasilij, ani ksiądz rzymskokatolicki Albin Rojsza (1900-1942). Ciągłe wizyty nieproszonych gości, aroganckie zachowanie wobec nich, rewizje, groźby nie sprzyjały pracy duszpasterskiej tych kapłanów. Ojciec Wasilij po spowiedzi prowokatora nadesłanego przez NKWD, aresztowany i przesłuchiwany przez całą noc, wyczerpany fizycznie i moralnie po powrocie wkrótce zmarł pozostawiając w rozpaczy wiernych. Miało to miejsce tuż przed Wielkanocą 1940 r. Jednakże główny atak na religię nastąpił ze strony szkoły, którą zasadniczo zmieniono. Przede wszystkim szkoła przestała być siedmioklasową szkołą powszechną. Utworzono sowiecką szkołę dziesięcioletnią z wykładowym językiem rosyjskim i białoruskim. Młodsze klasy polskiej szkoły cofnięto o jeden rok, tłumacząc to słabym poziomem tej szkoły w porównaniu z sowiecką. Pozostawiono tylko pierwsze cztery klasy z wykładowym językiem polskim dla chętnych lub nieznających innego języka niż polski. Dla nauczycieli młodszych klas z miejscowej ludności zorganizowano specjalny kurs. Były to głównie te osoby, które poznały język rosyjski przebywając w Rosji w latach 1915-1923 jako tzw. „bieżeńcy" (uciekinierzy). Na taki kurs zapisała się też moja mama i wujek Stefan Łasko (1907-1980). Trzeba było z czegoś żyć, a ponadto trzeba było pracować, aby nie zostać

zaliczonym do pasożytów społecznych. Po ukończeniu kursu mamę zatrudniono w charakterze nauczycielki nauczania początkowego w drugiej klasie, a wujka — w trzeciej.

Uczniów starszych cofnięto o dwie-trzy klasy. Tutaj nauczali już nauczyciele sowieccy. Byli to Rosjanie, Białorusini, Żydzi, i nawet, jak się później okazało, jeden szpieg niemiecki. Różnice między przyjezdnymi nauczycielami sowieckimi i miejscowymi były ogromne. Przede wszystkim nauczyciele miejscowi, zarówno prawosławni, jak i katolicy, wywodzili się z rodzin kultywujących tradycje religijne. Mimo oficjalnej propagandy ateistycznej nauczyciele ci nie zaniechali praktyk religijnych i choć nieco ograniczyli swój udział w życiu religijnym, to jednak nie zaniechali uczestnictwa w nabożeństwach w kościele lub cerkwi. Popadali wtedy w konflikt z kierownictwem szkoły. Za czynny udział w nabożeństwie wielkanocnym moja mama musiała stawić się przed obliczem „zaucza" (zastępcy dyrektora do spraw pedagogicznych) o nazwisku Jomdin. Między nimi doszło do poważnej wymiany zdań. Jomdin mówił: „Przecież pani jest sowiecką nauczycielką, wychowawczynią młodzieży, pani powinna być przykładem dla tej młodzieży i wychowywać ją w duchu wolnym od religijnych zabobonów". W odpowiedzi mama wyjaśniła Jomdinowi, że tak została wychowana, że jest wierzącą i taką już pozostanie. Na zakończenie rozmowy mama spytała swego rozmówcę, czy on aby w nic nie wierzy. Według matki Jomdin, jak na sowieckiego Żyda był wyjątkowo uprzejmy i taktowny, na pewien moment zamilkł, spojrzał w okno, po chwili odwrócił się i powiedział: „Da, ja toże wieriu" (Tak, ja też wierzę). Przez chwilę zapanowała cisza, po czym Jomdin zastanowił się i dodał: „Wieriu w pobiedu kommunizma" (Wierzę w zwycięstwo komunizmu). Więcej mamy nie wzywano, ale nie wiadomo jakby dla wierzących nauczycieli to się skończyło, gdyby nie wybuchła wojna niemiecko-sowiecka[19].

Młodzież nie uczącą się w dziesięciolatce wywożono przymusowo do przyzakładowych szkół FZO (fabryczno-zakładowej nauki), często dość odległych od stałego miejsca zamieszkania. Przygotowywano ich tutaj na przyszłych robotników wykwalifikowanych. W szkołach tych z reguły były liche warunki mieszkaniowe i żywieniowe oraz całkowita ateizacja, toteż wielu, zwłaszcza Polaków, starało się za wszelka cenę uniknąć wcielenia do takiej szkoły.

Młodzież odciągano od świątyń w różny sposób. Wypożyczano narty na

[19] Kłamliwym oszczerstwem jest więc, nie poparta żadnym dowodem, informacja W. Sawickiego (*Kosów Poleski moje miasto...*, s. 225), że w kosowskiej szkole „zespół nauczycielski był starannie dobrany, bowiem każdy z nich był agentem, a rzadko kto tylko był informatorem na służbie NKWD". Takie oskarżenie nie tylko zniesławia moją śp. Matkę, lecz również jej koleżanki Marię Borowską, Katarzynę Mukosiej i innych.

niedzielne poranne wycieczki lub łyżwy na ślizgawki. W dni świąteczne organizowano atrakcyjne imprezy. Rozdawano gazetki i czasopisma o tematyce wykpiwającej duchowieństwo i ludzi wierzących.

W Kosowie i okolicznych wsiach rozwieszono dużą ilość plakatów zachęcających młodych ludzi do pracy w Donbasie. Wielu dało się nabrać, licząc na świetne zarobki w kopalniach. Jednak ich zapał szybko ostygł. Młodzi ludzie, wychowani wśród kwitnących pól i łąk, nie nadawali się do uciążliwej pracy pod ziemią i to jeszcze w dość prymitywnych warunkach. I chociaż nieźle zarabiali, to nic nie mogli kupić, gdyż w sklepach były pustki. W stołówkach wyżywienie również było słabe, toteż wielu z nich uciekało do domu. Jednym z takich uciekinierów był wspomniany wcześniej Możejko. Pewnego razu wieczorową porą rozpoznał go ojciec, przemykającego chyłkiem przy płocie cmentarnym po drodze do wsi Skuraty. Wychudzony i obdarty, już bez dawnej zadziorności i pewności siebie, opowiadał o tym co go spotkało w Donbasie. Mając dość trudnej pracy i warunków życia uciekł z Donbasu i przez trzy miesiące przedzierał się do domu pieszo i okazją w ciągłym strachu przed aresztowaniem. I wówczas ojciec przypomniał Możejce, co kiedyś wyrokował, gdy on latał po mieście wymachując pistoletem. Ojciec został buchalterem w inspektoracie szkolnym, a Możejko wrócił do domu, by nadal klepać biedę na skrawku ziemi i szukać dorywczej pracy.

Nie tylko Możejce władza sowiecka przestała się podobać. Ludzie zaczęli narzekać na liczne podatki, nawet od drzew owocowych, toteż niektórzy sypali sól, by drzewo uschło. N. Bakijewicz twierdził, że „jak nastała władza sowiecka, to niemal każdy miesiąc, co parę dni, przychodzili, aby dano cetnar żyta lub dwa czy nawet pięć, to na Czerwony Krzyż, to na Armię Czerwoną, to na pomniki i końca nie było, idą i idą. Mleka daj, wełny daj i cholera wie co jeszcze daj”[20]. Ponadto zależnie od posiadanych hektarów ziemi wprowadzono po bardzo niskich cenach tzw. obowiązkowe dostawy zboża i mięsa (lub lnu i ziemniaków). Podatek ten był bardzo uciążliwy, gdyż po wywiązaniu się z niego ziarna nie starczało już na wyżywienie rodziny i na wiosenny zasiew. Najgorzej mieli posiadacze większej ilości ziemi, których zaliczono do tzw. kułaków — krwiopijców i wyzyskiwaczy ludu. Jednakże wbrew temu, co o nich mówiono, w większości byli to bardzo pracowici ludzie, którzy w pocie czoła powiększali swoje gospodarki. Władza sowiecka obarczała ich ponad siły różnymi podatkami, z których w żaden sposób nie mogli się wywiązać. Wtedy stawiano ich przed sądem, a potem deportowano w głąb Rosji[21]. Ucierpieli też chłopi z pobliskiej wsi Sta-

[20] N. Bakijewicz, mieszkaniec Kosowa, w rozmowie z autorem dn. 3.VIII.2006 r.

[21] В. Іпатава, *Звініць у душы беларускае слова*, „Наша слова”, 23.VI.2004, № 24 (659), с. 10-11.

rożowszczyzna, którzy bezprawnie zagarnęli przykościelną ziemię. Mając jej więcej nie mogli wywiązać się z narzuconych im podatków, toteż wielu starało się porzucić gospodarstwa i szukać innych zajęć. Wówczas przypomniano sobie, że Polacy nie dusili takimi podatkami. „Podatek zapłaciłeś, to do ciebie nawet pies kulawy nie zajrzy". Ludzie w mieście mieli pieniądze na podatek. Przeważnie karmili świnie, trzymali źrebaki. Na mleko nie było dużego zbytu, ale niemal wszyscy trzymali krowy. Kołchozów w Kosowie jeszcze nie było, a w całym powiecie istniały może dwa. Ponadto na posiadaczy zaprzęgów konnych nakładano obowiązek wywózki drewna z lasu, który eksploatowano chaotycznie i niegospodarnie. Zaopatrzenie w produkty żywnościowe było bardzo złe. Nie było nafty, ani cukru, a jak jakiś ciuch wyrzucą na półki, to od razu ustawiają się duże kolejki[22].

W listopadzie 1939 r. otwarto nową, sowiecką bibliotekę państwową. Do jej kierowania powołano Eugenię Bauer (1915-1988)[23], dotychczasową kierowniczkę biblioteki Związku Nauczycielstwa Polskiego. Przysłano mnóstwo książek i czasopism ze Związku Sowieckiego. Książki były w języku rosyjskim, białoruskim i polskim. Tych ostatnich z biblioteki ZNP nie wyrzucono i nadal je wypożyczano. Lokal biblioteki powiększono i zatrudniono jeszcze dwóch pracowników; utworzono również czytelnię czasopism. Wypożyczanie książek było dla wszystkich bezpłatne, toteż znacznie wzrosła liczba czytelników. Propaganda sowiecka sprytnie wykorzystała fakt, że za Polski w bibliotece kosowskiej nie było ani jednej książki w języku białoruskim czy rosyjskim. Usilnie podkreślała, że biblioteka polska służyła polonizacji i wynaradawianiu, a sowiecka teraz temu nie służy, a wręcz przeciwnie: służy ludziom, by poznali lepiej swój kraj ojczysty, sprawiedliwość społeczną i wiedzę ogólną[24].

W domu Żuka na głównej ulicy miasta urządzono drukarnię, w której zaczęto drukować „Zor'kę" (Jutrzenkę"), gazetę kosowską[25]. Zamieszczano w niej przeważnie materiał propagandowy, głównie przed wyborami do najwyższych i miejscowych władz. Nie wiem kto mojej mamie nie spodobał się, czy to ktoś z kandydatów do Rady Najwyższej, czy miejscowej,

[22] Por.: przypis 20.

[23] O niej: Bauer Eugenia (z domu Dackiewicz), żona nauczyciela języka niemieckiego w przedwojennym Gimnazjum Handlowym w Kosowie Poleskim. Po wojnie pracowała w Łodzi w bibliotece Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Zmarła w 1988 r. w Łodzi i pochowana został w tymże mieście na prawosławnym cmentarzu przy ul. Telefonicznej 4.

[24] W pracy korzystam ze wspomnień pisemnych Eugenii Bauer.

[25] W czasie okupacji niemieckiej ocalałą część czcionek z tej drukarni przewieziono do Słonimia, aby móc uruchomić tam drukarnię (własna spaliła się), a następnie rozpocząć wydawanie gazety „Слонімскі Голас" i „Каласок" — pismo dla dzieci. Ю. Грыбоўскі, *Польска-беларускі канфлікт у Генеральнай акрузе „Беларусь" (1941-1944)*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne", Białystok 2006, nr 25, s. 156.

gdyż całymi dniami głowiła się jak go skreślić, aby nikt tego nie widział. W końcu zdecydowała, że włoży malutki ołóweczek między palce i tym ołóweczkiem skreśli kandydata. Jak postanowiła, tak i uczyniła, ciesząc się, że jej się to udało.

Świetne polskie przedszkole zostało zlikwidowane, a na jego miejsce zorganizowano nowe, umieszczając je w centrum miasta, w budynku naprzeciw cerkwi. Przez krótki czas woziłem na sankach do przedszkola moją młodszą siostrę Alę (ur. 1936) i brata Walentego. Większość dzieci w przedszkolu należała do rodzin miejscowych dygnitarzy sowieckich. Ale nie to było główną przyczyną, że moi rodzice postanowili nie posyłać tam dzieci. W porównaniu z przedwojennym przedszkolem, do którego ja uczęszczałem, tutaj panował okropny bałagan i złe warunki sanitarne. Moje rodzeństwo często chorowało. Ale ktoś musiał się nimi w domu opiekować. Oboje rodzice pracowali — mama w szkole, ojciec w inspektoracie szkolnym, a ja uczęszczałem do drugiej klasy, toteż przez pewien czas opiekowała się nami 77-letnia staruszka, pani Ulitkowa. Babcia ta często zasypiała, a dzieciaki w styczniu same wychodziły rozebrane na dwór i hulały, po czym chorowały. Z konieczności zostawiono mnie w domu z dziećmi. Był to najsmutniejszy okres w całym moim życiu, gdyż po powrocie z pracy mama siadała ze mną do lekcji. A co najgorsze, mama była w szkole wychowawczynią mojej klasy, a to znaczyło, że musiałem świecić przykładem. Po odrobieniu lekcji na dworze było już ciemno i zbyt późno, by pojeździć z chłopakami na nartach czy łyżwach. Więcej czasu miałem, gdy mróz przekraczał 15°C; wtedy nie chodziło się do szkoły i mama była w domu, za to hasało się po dworze. Taki mróz wtedy nas nie przerażał. Jeden taki mroźny dzień szczególnie mi utkwił w pamięci, bowiem w tym dniu od starszych chłopaków dostałem nauczkę, którą do dziś dobrze pamiętam. Twierdzili oni, że pomimo, iż jestem taki chojrak, to językiem nie dotknę mosiężnej klamki w drzwiach. Ja nie dotknę!? A cóż to takiego? I dotknąłem, pozostawiając część skóry z języka na klamce. Było to chyba jedno z nielicznych w moim życiu oszustw, na które naiwnie dałem się nabrać. Długo nie mogłem przeboleć swojej głupoty.

Zima 1939/1940 r. chłodna była nie tylko na dworze. Mrozem wiało z poczynań władz sowieckich. Stała się rzecz straszna z soboty na niedzielę z 10 na 11 lutego 1940 r., kiedy to przy ponad 30-stopniowym mrozie NKWD przeprowadziło w Kosowie, zaplanowaną odgórnie, pierwszą wywózkę obywateli polskich na Sybir. Do wywózki władze sowieckie przygotowywały się przez 6 tygodni bardzo starannie i w całkowitej tajemnicy. Do jej realizacji zaangażowano prawie 10 tysięcy osób — enkawudzistów, czerwonoarmistów, milicjantów i innych funkcjonariuszy. 7 stycznia 1940 r. podczas narady u sekretarza KC KP(b)B Pantelejmona Ponomarienki postanowiono w pierwszej kolejności przeznaczyć do wywózki osadników wojskowych,

biorących kiedyś udział w wojnie bolszewicko-polskiej. Ponadto postanowiono wysiedlenie osadników połączyć z wysiedleniem pracowników służby leśnej — leśników, gajowych, dozorców, inspektorów i innych. Uważali, że ludzie ci mieli przeszkolenie wojskowe, a tym samym zagrażali bezpieczeństwu Związku Sowieckiego[26]. Większość tych ludzi stanowili Polacy. Białorusinami byli tylko przeważnie pracownicy służb leśnych. Powstaje pytanie kto układał listy do wywózki? Dość powszechnie przypisuje to się Rosjanom i co gorsza wbija to się do głów młodszemu pokoleniu. Ale to nie jest dokładna informacja. Często Rosjaninem był tylko „wostocznik" — wysoki partyjny aparatczyk, który z urzędu realizował wytyczne władz odgórnych. W Kosowie mówią, że był nim S. Łatyszew. Natomiast listy układał miejscowy aktyw niejednolity narodowościowo. Na czele zawsze stał, jeśli był w tej miejscowości, były więzień przedwojennego obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej lub innego ciężkiego więzienia polskiego. W skład tego aktywu wchodzili miejscowi Białorusini i Żydzi z udziałem nielicznych wprawdzie, ale także Polaków. Według W. Sawickiego w Kosowie w czasie wywózki aktywny udział brał również Polak Stanisław Radkiewicz (1903-1987)[27], późniejszy członek Biura Politycznego PPR i minister bezpieczeństwa publicznego PRL[28].

W Kosowie działał sztab wywózki, który obradował w Mereczowszczyźnie w domu przedwojennego wicestarosty Stanisława Rudnickiego[29]. Dom ten ocalał jako jedyny z całej Mereczowszczyzny i stoi do dziś (jego właściciel zmarł w Łodzi, będąc do emerytury urzędnikiem władz województwa łódzkiego). W tym domu zapadały najważniejsze decyzje, tak brzemienne w skutkach dla niewinnych ludzi. Stąd częściowo wyruszały podwody wyznaczone do wywózki.

[26] E. Mironowicz, *Zmiany struktury narodowościowej w zachodnich obwodach Białorusi w latach 1939-1941*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne", Białystok 2003, nr 20, s. 198-200.

[27] O nim: Stanisław Radkiewicz urodził się 19.I.1903 r. we wsi Razmierki, wówczas gmina i powiat Kosów. Był synem Franciszka i Pauliny z domu Lenczewska. Ochrzczony został w rzymskokatolickim kościele w Kosowie, później zwanym Poleskim. Przed wojną był sekretarzem Komunistycznego Związku Młodzieży. Siedział w różnych więzieniach. Ostatnie było w Białymstoku, z którego wyszedł w 1939 r. Powrócił do Kosowa, gdzie został inspektorem szkolnym i wykładowcą na kursach nauczycielskich. Jego żona Ruta z domu Teutsch (ur. 1912) była łódzką Żydówką, urodzoną przy ul. Zielonej 6 w domu stojącym przed zburzoną przez Niemców synagogą. W PRL przez dłuższy czas zajmowała wysokie stanowisko naczelnego dyrektora Filmu Polskiego.

[28] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 200.

[29] O nim: Stanisław Rudnicki zamieszkał w Łodzi przy ul. Próchnika 30 m. 16. Był zatrudniony na stanowisku prawnika działu Organizacji Zatrudnienia i Płacy Wojewódzkiego Zarządu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi.

Kurs dla nauczycieli w Kosowie, jesień 1939 r. W pierwszym rzędzie trzeci od lewej siedzi Stanisław Radkiewicz (wykładowca). Fot. Józef Szymańczyk

Działania organizacyjne do wywózki były prowadzone w niespotykanej tajemnicy. Nie było żadnych przecieków ze strony przygotowujących akcję, co całkowicie uniemożliwiało jakąkolwiek wcześniejszą ucieczkę.

W Kosowie przy wywózce zatrudniano też miejscowych zwykłych obywateli, bez względu na narodowość czy wyznanie, nieraz ludzi w podeszłym wieku, byle tylko umieli pisać. O określonej godzinie wezwanym kazano stawić się w domach Rudnickiego i Chitrina w Mereczowszczyźnie. Przybyłym wręczano zeszyty i ołówki, a gdy przybyło „naczalstwo" (władza), kazano im wsiadać na podstawione sanie czy furmanki, na których już siedzieli uzbrojeni enkawudziści. Przeważnie miało to miejsce między godziną 24.00 a 1.00 w nocy. Zadaniem wezwanych było w opuszczonym domu wywiezionej ofiary dokonać dokładnego spisu pozostawionych rzeczy. W mieście na ulicach ustawiono wojskowe posterunki, przeważnie rekrutujące się z Uzbeków, którzy słabo znali język rosyjski i nikogo nie przepuszczali przez ulicę[30].

W Kosowie przy pierwszej wywózce, gdzieś około godziny pierwszej w nocy, już 11 lutego 1940 r. do wielu domów zapukano w okno. Zbudzony gospodarz na podwórku zobaczył dwóch uzbrojonych enkawudzistów w towarzystwie miejscowego aktywisty. Polecili oni natychmiast ubrać się, zaprząc konia w sanie i pojechać z nimi. Miejscem, do którego kazano jechać,

[30] J. Bakijewicz, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem, dn. 3.VIII.2006 r.

okazała się siedziba gminy. Po jakimś czasie koło gminy zebrało się 37 zaprzęgów. Wkrótce pojawił się i dysponent, który wyczytał z przywiezionej ze sobą listy nazwiska osób kto i do kogo ma jechać. Po dołączeniu do tych zaprzęgów osób przeznaczonych do inwentaryzacji, wszyscy rozjechali się pod wskazane wcześniej adresy[31].

Jednego z takich inwentaryzatorów Jasia Helmera przywieziono do osadnika o nazwisku Kamiołko. Mieszkał on za lasem Jeławasty w kierunku wsi Hoszczewo. Jak wszedł on do chaty, to słabo mu się zrobiło, nie mógł zrobić kolejnego kroku. Mówił: „Polak przyszedł Polaka wywozić". Okazało się, że w domu znikli mężczyźni. Kobiety zaczęły ich szukać. A tu nawoływano „szybciej i szybciej". A potem, gdy J. Helmer wrócił do domu, nie mógł nic jeść, padł na kanapę i powiedział „Nie durcie mojej głowy". A jak oprzytomniał z tego szoku powiedział: „Jak wszedłem do domu Kamiołki, a tam golizna, dzieci maleńkie, wtedy jak ścisnęło mnie za serce"[32]. Nic też dziwnego, że potem Jaś Helmer na początku okupacji niemieckiej zapisał się do „polskiej policji".

Do znanego w mieście i bardzo cenionego leśnika, gajowego Sylwestra Osowieckiego (1876-1961) w charakterze inwentaryzatora skierowano Osipa Łukaszewicza (1879-1954). Był on dobrym znajomym gajowego, z którym był serdecznie zaprzyjaźniony. Dom Osowieckich znajdował się tuż przy samym lesie zwanym Hulinem. Pamiętam, że opodal w lesie była strzelnica miejska. W tym czasie w domu gajowego znajdowało się 10 osób. S. Osowiecki, jego żona Stefania Osowiecka (1885-1969), syn Jerzy Osowiecki (1916-1988), drugi syn Zbigniew Osowiecki (1822-1986), córka Aleksandra Osowiecka (ur. 1926), druga córka Krystyna Matuszko z domu Osowiecka (1909-1984) i jej syn Krzysztof (ur. 1936). Męża Krystyny Matuszko, Stanisława, sekretarza kosowskiego Sądu Grodzkiego w październiku 1939 r. aresztowano i zesłano do łagru gdzie w 1941 r. zmarł. Ponadto przebywała tu jeszcze jedna córka Konstancja Pepińska z domu Osowiecka (1906-1987) z pasierbicą Wandą Pepińską (ur. 1923) i synem Zygmuntem Pepińskim (ur. 1933). W listopadzie 1939 r. przywiózł ich do Kosowa dziadek Sylwester Osowiecki ze Zdzięcioła (teraz Dziatława/Diatłowo), położonego niedaleko Nowogródka. Nastąpiło to wtedy, gdy mąż Konstancji, Kazimierz Pepiński, zagrożony aresztowaniem przez NKWD, musiał uciekać do Warszawy. Z całej rodziny nie było tu tylko syna Stefana Osowieckiego, który, zmobilizowany do wojska, trafił we wrześniu 1939 r. do niewoli sowieckiej. Siedział w łagrze jenieckim w Komi ASRR aż do zwolnienia i wcielenia do Armii Andersa. Służył w siłach lotniczych w Anglii[33].

[31] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 227-228.
[32] J. Bakijewicz, mieszkanka Kosowa w rozmowie z autorem, dn. 3.VIII.2006 r.
[33] Z. Pepiński, *Krótkie opisanie pobytu w ZSRR w latach 1940-46*, [Białystok] 2010, listopad, rkps. w posiadaniu autora, s. 1-2.

Domowników obudzono po godzinie drugiej w nocy, a następnie zawiadomiono ich, że przejdą oni reedukację w oddalonych terenach Związku Sowieckiego: „Żyźń budiet pieriewospitana s kapitalisticzeskoj na socyalisticzeskuju" (Reedukowane z kapitalistycznego na socjalistyczne będzie ich życie). Ponadto powiadomiono ich, że na ubranie się i zabranie niezbędnych środków do życia mają tylko dwie godziny. O. Łukaszewicz starał się jak mógł podpowiadać co brać zdenerwowanym i wystraszonym Osowieckim. A jeden z „aferzystów", jak nazwał aktywistę potem, zaczął na niego krzyczeć dlaczego podpowiada. Jak nie podpowiadać, jak tu gromada wystraszonych dzieciaków[34].

Rodzinę Osowieckich załadowano na troje sań. Oddzielnie kobiety i oddzielnie mężczyźni. Następnie w asyście trzech enkawudzistów wyruszyli w kierunku Niechaczewa (stacji kolejowej Kosów Poleski). W domu pozostał jeden aktywista i rozpoczęła się inwentaryzacja pozostawionego mienia. Na stacji zesłańców załadowano do zwykłego wagonu towarowego w pociągu o długim składzie. Zwalniając wozaków kierujący akcją aktywista groził poważnymi konsekwencjami za ujawnienie tego co widzieli.

Podróż z Kosowa do nowego miejsca osiedlenia trwała około czterech tygodni. Najpierw pociągiem, następnie — gdy przyjechali w okolice Archangielska — saniami i pieszo. Przez zamarzniętą na dwa metry Dźwinę Północną dojechali do osiedla Kargowino w rejonie winogradowskim jako pierwsza grupa wygnańców. W ciągu paru najbliższych dni przybyły kolejne transporty — łącznie 102 rodziny, 516 osób. Wszyscy zesłańcy od 15 roku życia byli zobowiązani do prac przy wyrębie lasu i przygotowywaniu zrąbanych drzew do spławu pod kierunkiem sowieckich brygadzistów. Młodsi w pierwszym roku zsyłki nie chodzili do szkoły. Pod kierunkiem dziadka Osowieckiego, wszak leśnika z zawodu, zbierali w lesie żurawiny, łochynie i grzyby, a na łąkach nadbrzeżnych — szczaw, cebulę dymkę, młode pokrzywy. Zbieractwo pomogło rodzinie przetrwać, gdyż wyżywienie w karnym osiedlu było równie liche jak kwatery, a z wybuchem wojny niemiecko-rosyjskiej jeszcze się pogorszyło. Wtedy jednak (pod koniec 1941 r.) NKWD wydało deportowanym zaświadczenia amnestyjne (!), nawiązali z nimi kontakt przedstawiciele polskiej ambasady, otrzymali paczki z żywnością i ubraniem, mogli poruszać się po terenie Związku Sowieckiego, z czasem zamieszkali na cieplejszej Ukrainie. Rodzina Osowieckich w marcu 1946 r. przekroczyła nową granicę w Medyce i dojechała na Opolszczyznę. Autor wspomnień o deportacji kosowian zaznacza, że „większość byłych „specosiedleńców" dokonała (wyboru) nowych miejsc osiedlenia w stanie przymusu, gdyż do powrotu na ziemie sprzed lutego 1940 r. ludzie ci żadnych realnie szans nie mieli". Ich miejsce częściowo zajęli ludzie, którzy

[34] J. Bakijewicz, w rozmowie z autorem dn. 4.VIII.2006 r.

napłynęli do Kosowa z okolicznych wiosek, częściowo jednak ubytek ludności przez wszystkie następne lata nie został wyrównany[35].

Oprócz rodziny Osowieckich w tym „specposiołku" umieszczono jeszcze kilka innych rodzin z Kosowa i okolic. Byli to Edward Kulesza z żoną Marią i dziećmi, Antoni Kulesza z żoną i dziećmi, Antonina Kulesza z rodziną i Ptasznik z rodziną. Pozostałych wywiezionych z Kosowa umieszczono w innym „specposiołku", oddalonym kilkadziesiąt kilometrów od nich. Wszelkie kontakty między „posiołkami" były zabronione[36].

Pierwsza wywózka wywarła wśród ludności miasta niesamowitą trwogę. Formy represji, bez jakiegokolwiek sądu, określano jako bezprawne, nieludzkie, barbarzyńskie i uwłaczające godności ludzkiej. Odtąd nikt nie był pewny swego jutra, toteż postępowanie nowej władzy sowieckiej potępiła większość mieszkańców Kosowa. Inaczej jednak na deportację zapatrywała się ludność uboga, zwłaszcza z okolicznych wsi. Wprawdzie niektórzy współczuli sąsiadom osadnikom, głównie tym, z którymi zdążyli się zaprzyjaźnić, ale jakoś zauważalnie nie potępiali samej wywózki. Uważali oni bowiem osadników Piłsudskiego, jak ich nazywano, za intruzów na ich ojczystej ziemi, których obdarowano nadziałami od 9-10 do 30 ha, często najbardziej urodzajnej ziemi. Natomiast oni musieli zadawalać się małymi skrawkami karłowatych gospodarstw (0,5-2,8 ha) wegetując i często przymierając głodem na przednówku[37]. Ponadto raził ich też budowany na osadnikach miejscowy patriotyzm, gdyż był on tylko polski, a o białoruskim w ogóle nie było nawet mowy. Nie darzyli też sympatią tych, co za nadział ziemi przechodzili z prawosławia na rzymski katolicyzm[38]. Nie współczuli też wywożonym przedstawicielom aparatu ucisku, do których zaliczali policję, służby leśne czy urzędników skarbowych i in.

Strach przed deportacją ogarnął całe miasteczko. Niektórzy przygotowywali się zawczasu. Byli tacy, co nie sypiali nocami. A kiedy przyszli po nich w następnej wywózce, to ze zdenerwowania brali czasem nie te rzeczy, jakie przygotowali (np. worek łupin zamiast słoniny).

Drugą wywózkę przeprowadzono z 13 na 14 kwietnia 1940 r. Obejmowała

[35] Z. Pepiński, *Krótkie opisanie pobytu w ZSRR...*, s. 4-14.

[36] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 233; Zob. także: A. Gurjanow, *Alfabetyczny wykaz 6672 obywateli polskich wywiezionych w 1940 roku z obwodu brzeskiego*, [w:] *Deportowani w obwodzie archangielskim*, t. 14, część 4, Warszawa 2006.

[37] Por.: *Гарады і раёны Берасцейшчыны: гісторыя і сучаснасць. Івацэвіцкі раён*, Брэст 2009, с. 139-140. Praca ta bardzo traci na wartrości, ponieważ nie uwzględnia skutków napadu partyzantów sowieckich 3.VIII.1942 r. na Kosów Poleski. Bez dokładnej analizy tego wydarzenia dalsze losy miasta i Mereczowszczyzny są niekompletne, niejasne, często bałamutne i nieprawdziwe.

[38] A. Trinda, mieszkaniec Tweru dn. 14.VIII.2006 r. w rozmowie z autorem. Zobacz także: E. Mironowicz, *Białorusini, komunizm i władze sanacyjne w latach 1937-1939*, „Białoruskie Zeszyty Historyczne", Białystok 2006, nr 25, s. 102-115.

ona głównie rodziny osób przebywających w obozach jenieckich NKWD. Wtedy wywieziono z Kosowa m.in. wielce szanowanego pana Remigiusza Głogowskiego z żoną Anną i córką Haliną. Miejscem deportacji tym razem był Kazachstan, gdzie mieszkali i pracowali również w okropnych warunkach[39].

Trzecia wywózka, przeprowadzona przez władze sowieckie 29 czerwca 1940 r., ominęła Kosów. Dotyczyła ona głównie Żydów uciekinierów, którzy często pozbawieni dachu nad głową, pracy i środków do życia oraz nękani przez brud i wszawicę postanowili powrócić do kontrolowanych przez Niemców dawnych miejsc zamieszkania w Generalnej Guberni. Oburzone władze sowieckie potraktowały ich teraz jako szpiegów i niewdzięcznych zdrajców państwa sowieckiego, które udzieliło im schronienia[40].

W Kosowie wszyscy żydowscy uciekinierzy, którzy chcieli wyjechać i sami sobie nie zdołali zorganizować powrotu do Generalnej Guberni lub na Litwę bądź dalej, urządzili się na dogodnych kierowniczych stanowiskach: dyrektorów, buchalterów i in. Nikt nie pamięta, aby jakiegoś Żyda władza sowiecka z Kosowa zesłała na Sybir, poza jedynym wyjątkiem. Był nim ubogi szewc Pines, który ukradł 6 kawałków mydła i je sprzedał. Za czyn ten otrzymał 10 lat łagrów na Syberii. Pines po wojnie wrócił jako jeden z nielicznych ocalałych kosowskich Żydów. Mówił, że wygrał, bo nie zginął w getcie. A na Syberii było mu nawet nieźle. Był on tam jak mówił „stakanowcem" (szklankowcem), co można tłumaczyć, że był pijaczyną. W rzeczywistości chciał on powiedzieć, że był tam „stachanowcem", tj. przodownikiem pracy. W Gułagu dawano mu „zapałczane pudełko chleba". A gdy wrócił po wojnie do Kosowa i po pewnym czasie znalazł się w szpitalu, gdzie otrzymał przewidzianą dla chorego porcję chleba, część odkładał do szafki, ponieważ „jak wyjdzie ze szpitala, będzie miał chleb". Pielęgniarka, gdy to zobaczyła, opróżniała mu szafkę. Wówczas wywoływał wielką awanturę, bo w Rosji dawali mu „pudełko od zapałek chleba", a tu nie chcą, aby on w domu jadł chleb. Tam był przodownikiem pracy, za co otrzymywał nawet „bałmaszku" tj. bumażku (dyplom), że dobrze pracował. Niestety biedak nie cieszył się długo wolnością. W drodze do Palestyny zginął w Polsce, zabity na korytarzu pociągu wraz z innymi dwudziestoma współbraćmi. Kto był sprawcą tego zabójstwa w Kosowie nie wiedzą[41].

Tragiczna historia tego biednego, prostego, prowincjonalnego Żyda źle świadczy o jego kosowskich współbraciach, którzy dzierżąc większość wszelkiej władzy w mieście nie zechcieli go wybronić przed tak nieludzko surowym wyrokiem. Prawdopodobnie miejscowi Żydzi chcieli i zrobili z niego kozła ofiarnego, aby pokazać innym, że Żyda również może spotkać kara za nieprzestrzeganie prawa władzy sowieckiej.

[39] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 239.
[40] E. Mironowicz, *Zmiany struktury narodowościowej...*, s. 197, 200-201.
[41] J. Bakijewicz, mieszkanka Kosowa, w rozmowie z autorem, dn. 23.VII.2004 r.

Czwartą wywózkę (w Kosowie trzecia) przeprowadzono tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej w dniach 19-20 czerwca 1941 r. Objęła ona urzędników państwowych, bogatych chłopów i wszystkich, których można było uważać za „element kontrrewolucyjny”[42]. W Kosowie deportacji dokonano z czwartku na piątek dnia 19 czerwca 1941 r. Wywieziono wtedy Olgę Buczyńską (ur. 1900) z córkami Anną i Janiną oraz synem Mikołajem, których ojciec był urzędnikiem, i Gajewskich, ponieważ ich ojciec był woźnym w sądzie nie bacząc, że rodzina ta była bardzo uboga. Purzyńskich wywieziono tylko dlatego, że ich syn Stanisław był w niewoli u Niemców. Była to bardzo liczna rodzina, z ułomną córką. Żukowskich wywieziono ze względu na pobyt w stalagu ich syna Alfreda. Podobnie, jak podczas poprzednich wywózek, obudzono ich w nocy i nakazano w ciągu dwóch godzin zebrać najpotrzebniejsze rzeczy oraz koniecznie piły i siekiery[43].

Szczególnie drastyczny przebieg miała wywózka Lidii Pełczyńskiej z domu Honczaruk. Była ona żoną przodownika policji. Z miłości do niego wychodząc za mąż zmuszona była zmienić wyznanie z prawosławnego na rzymskokatolickie, ponieważ tego wymagały ówczesne władze od żon urzędników państwowych. Dla jednych była ona „pieriechrystką” (przechrztą), która „wieru połamała” (wiarę złamała), obdarzaną milczącą pogardą współwiernych, a dla innych kobietą, która chciała tylko polepszyć swój byt. Przyjechali po nią i dwoje dzieci, a ona nie chciała iść. Wówczas enkawudziści usiłowali ją siłą posadzić z dziećmi na wóz. Wtedy matka i siostry wczepiły się w nią i nie chciały puścić. Sami enkawudziści nie dawali rady, a woźnica o nazwisku Hrib, człowiek kosowski, odszedł na bok. Potem mówił: „Co, swoich ludzi będę wywozić”. Enkawudziści odeszli, a on odjechał do domu. Nie minęło jakieś 20-30 minut, gdy u Pełczyńskiej pojawił się samochodem sam naczelnik NKWD o nazwisku Cybin z innymi enkawudzistami. Siłą wciągnięto L. Pełczyńską z dziećmi i marnymi bagażami do samochodu. Działo się to na oczach całej rodziny oraz kobiet postronnych, które już szły doić krowy. Wówczas ta zrozpaczona kobieta otworzyła okno w aucie i zaczęła głośno krzyczeć: „Ludzi, kto w Boha wierić, spasajcie” (Ludzie, kto w Boga wierzy, ratujcie). Niektóre kobiety tak się przejęły tym okropnym widowiskiem, że nie były w stanie wydoić krów. Inne przez 2-3 dni nie mogły ani jeść, ani spać. Rodzina próbowała dogonić pociąg. Nie zdołano tego uczynić ani na stacji Kosów Poleski, ani w Baranowiczach, gdzie oprócz żywności chcieli jej podać ręczną maszynę do szycia, by mogła sobie jakoś radzić na wywózce, gdyż była z zawodu krawcową[44].

[42] E. Mironowicz, *Zmiany struktury narodowościowej...*, s. 201-202.
[43] W. Sawicki, *Kosów Poleski moje miasto...*, s. 239-240.
[44] Por.: przypis 41.

Wywózka dotknęła też kułaków tj. bogatych chłopów, którzy dorobili się ponoć na „wyzysku mas". Wywożono też niekiedy z wydumanym bogactwem. Mój ojciec znał taki wypadek, że wywieziono zwykłego chłopa białoruskiego tylko dlatego, iż jako jedyny we wsi miał dach pokryty dachówką. Nikt nie zapytał skąd u niego dachówka. Otóż biedaczyna pracował całe lato w wytwórni dachówki, a po zakończeniu pracy właściciel część zapłaty dał mu w naturze. Wszyscy chłopi w tej wsi mieli strzechy pokryte słomą, a ten „gdyby nie był bogaty, nie pokryłby dachówką". I w ten sposób najbardziej pracowity człowiek we wsi stał się ofiarą stalinowskiego reżimu.

Wywożeni w ostatnim rzucie nie mieli szczęścia, gdyż w Mińsku dowiedzieli się o wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Słyszeli wybuchy bomb. Ogarnął ich wtedy podniosły nastrój, zaczęli śpiewać polskie pieśni patriotyczne. Łudzili się, że to już kres ich dalszej deportacji. Myśleli, że z Mińska powrócą do domów. Niestety, mylili się, los był nieubłagany. Pociąg powoli ruszył dalej i mknął w głąb Rosji. Przez Ural dotarli do rzeki Ob, a stamtąd statkiem do tajgi...

Pierwsze wiadomości od deportowanych rodziny otrzymały dopiero po paru miesiącach. Listy przychodziły ocenzurowane i lakoniczne. Często zawierały one opisy pięknej przyrody oraz informację, że żyje się w nowym miejscu nieźle, z dyskretnym wskazaniem imienia najgorszego biedaka i nędzarza w rodzinie lub wspólnego znajomego. Niektóre z tych listów nie były adresowane do rodziny, lecz do koleżanek szkolnych lub znajomych. Wszystkie zawierały prośbę o przysłanie paczki żywnościowej ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb dzieci. W Kosowie zorganizowała się nawet pewna grupa ludzi, która zajmowała się zbiórką i wysyłką żywności dla zesłańców. Wolno było wysyłać paczki do 8 kg. Przeważnie wysyłano słoninę, masło topione, suchary, różne kasze, czosnek i cebulę. Nadawcy nie zawsze podawali swoje nazwiska w obawie przed ewentualnymi represjami.

Natomiast o warunkach pracy deportowanych i ich zakwaterowaniu krewni dowiadywali się dopiero po wojnie. A były one okropne. Przerażeni zesłańcy mieszkali w barakach w pomieszczeniach o powierzchni 15-25 m^2 na rodzinę. Spali na pryczach z desek „z dowolną ilością insektów: pluskiew, karaluchów, wszy, a latem rojów komarów". Brakowało należytej opieki zdrowotnej. Często był tylko jeden felczer dla wszystkich z apteczką chininy, gorzkiej soli i sody oczyszczonej — na wszystkie choroby. Głównym zajęciem były „roboty leśne i przygotowanie do spławu drewna". Praca była na akord od sześciennego metra przerobionego drewna, nisko opłacana. Brygadziści, miejscowi Rosjanie, różnie odnosili się do Polaków. Jednakże najważniejszymi zwierzchnikami „specposiołków" byli enkawudziści[45]. Niektórzy z nich wyróżniali się pogardą w stosunku do deportowanych, stosując rygory wręcz niewolniczej pracy. Za niewypełnienie norm produkcyjnych ograniczali wyżywienie lub stosowali inne kary.

[45] Z. Pepiński, *Krótkie opisanie pobytu w ZSRR...*, s. 5-35.

Nikt jednak z deportowanych nie narzekał na prostych ludzi rosyjskich. Chociaż sami byli w biedzie i nieszczęściu, często współczuli i jak mogli pomagali deportowanym obywatelom polskim.

Okres poprzedzający wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w Kosowie niczym specjalnym się nie wyróżniał. Pewnym niepokojem ogarnięte było miasto, ale to tylko ze znanych nam poczynań władz sowieckich. Były wakacje, pełno było dzieci i młodzieży na stadionie i basenie. Nie było wprawdzie popularnych jak kiedyś majówek w Mereczowszyźnie, ponieważ teren był zamknięty przez stacjonujące tam wojsko. W Domu Ludowym często wyświetlano filmy, przeważnie z odcieniem propagandowym. Tylko wśród przyjezdnych Żydów można było zaobserwować pewien niepokój. Oni zdawali sobie sprawę czym jest hitleryzm, ponieważ zetknęli się już z nim osobiście w Niemczech czy Polsce. Nie zawsze dawali im posłuch, zwłaszcza Żydzi sowieccy, toteż dla wszystkich wielkim zaskoczeniem była wieść o wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Pamiętam, była to niedziela 22 czerwca 1941 r., ładny pogodny dzień. Beztrosko bawiłem się z chłopakami... w wojnę! Dopiero ryk dość nisko przelatujących samolotów uświadomił mi, że dzieje się coś niesamowitego. Ludzie zaczęli mówić, że to samoloty sowieckie lecą na Niemców. Radio bez przerwy podawało komunikaty. Potem ludzie uświadomili sobie, że to samoloty nie sowieckie, lecz niemieckie, które wracały po wykonaniu zadania. Część administracji sowieckiej niemal natychmiast opuściła miasto. Tuż po obiedzie ze strony wsi Bieławicze zaczęły pojawiać się pierwsze wojskowe ciężarówki zamaskowane zielonymi brzózkami. Było na nich pełno ludzi, przeważnie rodzin wojskowych. Potem przez kilka dni nic ciekawego się nie działo. Dopiero kiedy puszczono pogłoskę, że Niemcy wysadzili desant w Mereczowszczyźnie, natychmiast cała sowiecka władza opuściła Kosów. Po bezmyślnej strzelaninie wycofało się też wojsko. W ten sposób zakończyła się władza sowiecka w mieście, a rozpoczęła okupacja niemiecka.

Blisko dwuletnie sprawowanie władzy sowieckiej w Kosowie przyniosło następujące skutki:

— zmniejszył się dystans społeczny między ludźmi;

— zostało rozbudzone większe poczucie narodowe wśród Białorusinów;

— polski element napływowy został całkowicie usunięty, a na to miejsce pojawił się rosyjski;

— zahamowana została szybko postępująca polonizacja i często wymuszona katolicyzacja;

— znacznie wzrósł poziom oświaty i zmniejszył się analfabetyzm; wzrosło czytelnictwo;

— rozpowszechniło się szkolnictwo w języku białoruskim i rosyjskim, którego przedtem nie było;

— więcej zdobyczy medycznych dotarło do miasta i okolicznych wsi, szczególnie w położnictwie.

Pomimo tych znaczących zdobyczy okres sowiecki zapisał się wieloma negatywnymi cechami. A mianowicie:

— nadszarpnięte zostały dość przyjazne stosunki między trzema narodowościami: Białorusinami, Polakami i Żydami od wieków zamieszkałymi w Kosowie;

— pojawił się niepokój, zwłaszcza wśród Polaków, o swój los;

— zachwiana została tradycyjna religijność tych narodowości;

— wielkie szkody poczyniła powszechna, urzędowa ateizacja;

— zwiększył się alkoholizm i zwłaszcza nikotynizm dorosłych, młodzieży i nawet dzieci;

— ludzie w stosunku do siebie stawali się bardziej agresywni, zaczęło pojawiać się więcej wrogości niż miłości;

— zmalało przywiązanie do ziemi i zmalał też rzetelny stosunek do pracy;

— wielu zdolnych i pracowitych ludzi nigdy już nie powróciło do Kosowa.

Wywózka ludzi bez sądów w odległe miejscowości ZSRR, pogarda dla uczuć religijnych głęboko zakorzenionych wśród ludu, niepokój o jutrzejszy dzień, nadmierne i uciążliwe podatki, słabe zaopatrzenie w żywność i artykuły pierwszej potrzeby zraziły i rozczarowały wielu ludzi, nawet tych, co wcześniej byli przychylni władzy sowieckiej. Dlatego też wydaje mi się, że wielu Białorusinów oczekiwało od nowej władzy nie takiego zjednoczenia obu części Białorusi. A dla większości Polaków był to ponury okres uważany za okupację sowiecką.

Eugeniusz Iwaniec — dr hab., historyk i rusycysta, prof. nadzw. Wyższej Szkoły Studiów Międzynarodowych w Łodzi. Emerytowany, długoletni pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu Łódzkiego. Badacz dziejów i kultury duchowej i materialnej Rosjan staroobrzędowców. Autor kilku książek i około czterdziestu artykułów. Obecnie utrwala wspomnienia związane z Kosowem Poleskim — miejscem swego urodzenia.